GOSPODARKA

Ekonomia jaskiniowa

fot. Marcel Kusch/AFP/East News

Sebastian Stodolak

Niektórym imponuje idealizm młodej aktywistki klimatycznej Grety Thunberg. Mnie niepokoi. – Jesteśmy u progu zagłady, a wy potraficie tylko wygłaszać te swoje bajki o wiecznym wzroście gospodarczym – robiła wyrzuty elitom podczas wrześniowego szczytu klimatycznego ONZ w Nowym Jorku. Tymi słowami zapisała się – choć zapewne nieświadomie – do obozu antywzrostowców.

Istnieją dwa ruchy intelektualne, które można określić w ten sposób. Pierwszy to „zero growth", uznający dalsze podbijanie wzrostu gospodarczego za zjawisko niepożądane. Drugi, „degrowth", jeszcze bardziej radykalny, głosi, że należy nie tylko zrezygnować z dalszego zwiększania PKB, lecz także je zredukować. Celem obu jest ochrona ludzkości przed nią samą, gdyż eksploatując zasoby naturalne, dążymy do samozagłady.

Antywzrostowcy zyskują coraz większy poklask – nawet wśród akademików. Na rok przed wystąpieniem Grety 238 profesorów z całego świata podpisało odezwę do liderów Unii Europejskiej, w której proponują planowe przejście do gospodarki postwzrostowej. Im bliżej roku 2050, tym głosy takie będą silniejsze. To data graniczna, do której według IPCC, Międzyrządowego Zespołu ds. Zmian Klimatu, należy ściąć globalne emisje dwutlenku węgla do zera. Jeśli ten cel nie zostanie zrealizowany, to „świat, jaki znamy" – by użyć słów Marcina Popkiewicza, fizyka i klimatologa, który niedawno przestrzegał przed tym na naszych łamach (Magazyn DGP 221 z 15 listopada 2019 r. „Czas końca światów") – skończy się.

Problem w tym, że skutkiem realizacji idei antywzrostowców jest właśnie zagłada. Zagłada ekonomiczna. Śmierć przez dobre intencje.

Z piekła do raju

Antywzrostowe idee mogą wydać się pociągające. Ich zwolennicy przekonują, że zatrzymanie, a nawet redukcja PKB nie musi oznaczać spadku jakości naszego życia. Zaczynają od tego, że i dzisiaj wcale nie jest ona tak wysoka. „Obecna gospodarka oparta jest na dewizie «szybciej, wyżej, dalej», która narzuca ludziom konkurencję. Jest to przyczyną pędu, stresu i wykluczenia. (...) Ludzkość musi widzieć siebie jako część ziemskiego ekosystemu. Jedynie w ten sposób możliwe jest godne życie dla wszystkich" – czytamy na portalu Degrowth.info. Zwolennicy tej idei proponują w pewnym sensie powrót do przeszłości. Antropolog Jason Hickel z London School of Economics napisał w „The Guardian", że nim ludzie zostali zaprzęgnięci w kapitalistyczną machinę, cieszyli się „bogactwem dóbr wspólnych – ziemi, wody, lasów, zwierząt", żyjąc w świecie „dzielenia się i wzajemności". Antywzrostowa przyszłość będzie nawet bardziej sielska, bo bogatsza o osiągnięcia technologiczne i uniwersalny dochód podstawowy.

Globalne ocieplenie jest dla antywzrostowców dowodem, że ich teorie należy jak najszybciej zrealizować. Twierdzą przy tym, że nawet gdyby klimat się nie zmieniał, system oparty na mnożeniu i akumulacji kapitału i tak należałoby porzucić. Jest on skazany na klęskę, gdyż nieskończony wzrost gospodarki zasadzającej się na kończących się zasobach jest niemożliwy. Ilość ropy, węgla i gazu jest ograniczona, zaś liczba ludzi i ich potrzeby stale rosną. Zasoby naturalne wyczerpują się coraz szybciej i w końcu Ziemia straci moc podtrzymywania kapitalizmu. I żadna korekta modus operandi tego nie zmieni. Dlaczego? Śladem swojej największej intelektualnej inspiracji, amerykańskiego ekonomisty Nicolasa Georgescu-Roegena, antywzrostowcy przekonują, że raz wykorzystane zasoby ulegają nieodwracalnej degradacji.

Prognozy wspierające antywzrostowe idee zawierał już raport „Granice wzrostu", opublikowany w 1972 r. przez Klub Rzymski, organizację zrzeszającą wpływowych ludzi chcących zmieniać świat na – przynajmniej ich zdaniem – lepszy. Oparty na komputerowych wyliczeniach dwustustronicowy dokument zawierał symulacje demograficzne, szacował przyszły wzrost produkcji przemysłowej, prognozował stopy wzrostu PKB, poziom konsumpcji żywności, zasoby minerałów, wzrost popytu na pestycydy, dostępność gruntów czy wzrost koncentracji CO_2 w atmosferze. Autorzy raportu straszyli kryzysem, który nadejść miał w ciągu stu lat i, by mu zapobiec, namawiali do ograniczenia wzrostu produkcji, konsumpcji, lecz także do ograniczenia wzrostu populacji. Oczywiście, odgórnego. Podobny ton przyjęli autorzy odezwy do przywódców Wspólnoty z 2018 r., sugerując powołanie odpowiednich komisji i ministerstw. Działać trzeba już teraz, nie można czekać na oświecenie ludzkości, bo może być za późno.

Największą katastrofą, którą mogą nam przynieść zmiany klimatu, jest **oddanie władzy nad gospodarką tym, którzy z nimi walczą**

Czy to nie dziwne, że zwolennicy idei, których realizacja ma rzekomo stworzyć lepszy świat, potrzebują odgórnego planowania i narzędzi przymusu? Mogłoby się wydawać, że wizja życia w harmonii z naturą, opartego na współpracy, a nie na rywalizacji, gdy pracujemy właściwie wyłącznie twórczo i tylko wtedy, gdy chcemy, a wszystkiego mamy pod dostatkiem, to wizja tak atrakcyjna, że przekona każdego, komu się ją wyłoży, prawda?

A jednak tak nie jest. Antywzrostowcy, jak wszyscy utopiści, nie biorą pod uwagę pewnego detalu – ludzkiej natury. Tej samej, która sprawiła, że zeszliśmy z drzew, wyszliśmy z jaskiń i opłynęliśmy glob czy postawiliśmy stopę na Księżycu. Że nieustannie chcieliśmy więcej, czyniąc sobie Ziemię poddaną. Jak zmienić w kilka dekad to, co kształtowało się i utrwalało przez tysiące lat?

I z powrotem do piekła

Antywzrostowcy nie lubią używać słowa „przymus". Zaś promując swoje idee wśród laików, unikają konkretów, jeśli chodzi o to, jak dokładnie – za pomocą jakich metod politycznych – miałyby być realizowane. Wolą uciekać się do komunałów o potrzebie zmiany świadomości społecznej, edukacji elit, większej demokratyzacji czy proponować odrobinę bardziej restrykcyjne regulacje i nowe podatki. Udają, że zieloną transformację można przeprowadzić za pomocą niekontrowersyjnych narzędzi.

Nie wszyscy dbają o pozory. Ekonomiści Enno Schroeder i Servaas Storm w opublikowanym w 2018 r. artykule „Dlaczego zielony wzrost jest iluzją" przekonują, że nie da się połączyć wzrostu PKB z dbałością o naturę, zwłaszcza w kontekście ambitnych celów dekarbonizacyjnych, przyjętych w ramach porozumienia paryskiego. Jedyne skuteczne narzędzia konieczne do uniknięcia katastrofy są ich zdaniem sprzeczne z logiką ekonomiczną obecnego systemu. „Przyszłość musi być radykalnie

Ekolodzy blokują pracę kopalni w niemieckim Garzweiler, lato 2019

inna niż przeszłość. Stabilizacja klimatu wymaga głębokiego zaburzenia w sposobach pozyskania energii z węglowodorów, w produkcji i w infrastrukturze transportowej, uderzenia w interesy przemysłu wydobywczego, przeprowadzenia wielkich inwestycji publicznych. (...) Musimy odrzucić obecny system przekonań, w którym rządowa interwencja i nierynkowe narzędzia koordynacji oraz podejmowania decyzji uznawane są za gorsze względem rynkowych i za niezdolne do osiągania zamierzonych celów" – piszą. Sugerują też, że mobilizacja w obliczu wyzwań klimatycznych powinna być tak poważna, jak byłaby w obliczu śmiertelnego zagrożenia. Czy zgodzilibyśmy się na rządowy przymus i radykalne ograniczenia gospodarcze, gdyby groziła nam inwazja obcych wojsk? No, właśnie.

Jak można się łatwo domyślić, cała operacja nie będzie przyjemna. Nasze indywidualne preferencje przestaną się liczyć. Dwight R. Lee i Robert McNown w 1976 r. w odpowiedzi na propozycje ówczesnych antywzrostowców (artykuł „Problemy związane z wstrzymaniem wzrostu") pisali, że aby ograniczyć wzrost PKB, rząd będzie musiał określać, jakie ilości konkretnych produktów można w danym czasie wytworzyć. Będzie musiał decydować też o tym, które przedsiębiorstwa mogą realizować te kwoty. Firmy zaczną więc, w walce o przyznanie im prawa do produkcji, zaspokajać potrzeby biurokratów, a nie klientów. Rząd mógłby też, piszą Lee i McNown, zamiast kwot produkcji, ustanowić górną granicę dochodów. Wówczas wciąż to konsumenci decydowaliby, co jest im potrzebne, a ich chudsze portfele skłoniłyby producentów do większej oszczędności i innowacyjności. Tyle że przecież nawet w takich okolicznościach producenci będą się nadmiernie bogacić. Wytworzy to nierówności na niespotykaną w kapitalizmie skalę. System stanie się niestabilny i straci poparcie. Żeby temu zapobiec, kontrola dochodów konsumenckich będzie wymagać suplementu w postaci niezwykle wysokiego opodatkowania zysków i inwestycji – by zniechęcić producentów do efektywnego odpowiadania na potrzeby konsumentów. To skok z deszczu pod rynnę – nierówności nie ma, ale nie ma też bodźców do produkcji.

Nie łudźmy się. W praktyce tym, co antywzrostowcy koniec końców proponują, jest nic innego, jak gospodarka sterowana centralnie. A w kwestii efektywności tego systemu nic się od czasów Mao i Stalina nie zmieniło.

Wstrzemięźliwy kapitalizm

Model ekonomiczny, który promują antywzrostowcy, to ekonomia jaskiniowa. Ich propozycje wynikają z dobrych intencji, lecz nie zdają sobie sprawy, że chcą nam najpierw zafundować hayekowską „drogę do zniewolenia", potem totalitaryzm, zaś w końcu wojnę wszystkich ze wszystkimi.

Antywzrostowcy mylą się jednak głęboko w ocenie systemu kapitalistycznego. Teza, że musi on eksploatować coraz więcej zasobów, jest fałszywa. Zwraca na to uwagę Andrew McAfee, badacz nowych technologii z Massachusetts Institute of Technology (MIT). – Jeszcze w latach 70. XX w. mieliśmy sporo dowodów na to, że między prosperity a dobrem planety istnieje konflikt. Symbolem tego stały się pożary rzeki Cuyahoga w Cleveland. Było w niej tyle odpadów, że płonęła aż 13 razy (do najsłynniejszego pożaru doszło w 1969 r. – red). To wtedy pojawiły się głosy, że jest nas zbyt wielu i że konsumujemy zbyt dużo. Nie przejęliśmy jednak modelu degrowth. Przybywało nas, konsumowaliśmy i produkowaliśmy jeszcze więcej. W tym czasie stało się coś nieoczekiwanego. Po raz pierwszy w historii udało się rozdzielić wzrost produkcji od zużycia zasobów naturalnych. Zaczęliśmy potrzebować ich coraz mniej. Mniej metali, mniej minerałów, nawozów, wody, mniej drzew. I to nawet biorąc pod uwagę dobra importowane z Chin – tłumaczył McAfee w trakcie wykładu z cyklu TEDx, ilustrując to odpowiednimi wykresami. – Doszło do tego nie z powodu naszej szlachetności, a ponieważ lubimy tanie rzeczy. Zasoby naturalne są kosztowne. Technologie sprawiły, że nie musimy kupować już osobno komputerów, kamer, aparatów, odtwarzaczy VHS, dyktafonów, zegarków, telefonów stacjonarnych. Wszystko to zostało zdematerializowane i zapakowane w jeden produkt – smartfon. Dematerializacja to proces, który można dostrzec dzisiaj w każdej dziedzinie gospodarki. Musimy robić wszystko, by ten trend utrzymać – przekonywał. Nie stawia jednak kropki nad i, gdyż nie pokazuje prawdziwego źródła zmiany.

To zidentyfikował w 1981 r. humanistycznie i społecznie nastawiony ekonomista Julian Simon, publikując książkę „Ultimate Resource". To nie Bóg albo natura stworzyła owe zasoby – stworzył je człowiek. To my – dzięki kreatywnym umysłom – wymyśliliśmy zastosowania dla tego, co znaleźliśmy w lesie oraz wykopaliśmy z ziemi. Przecież ropa nie była takim zasobem przez większą część historii ludzkości. Nie jest więc tak, że człowiek ma jakąś daną ilość zasobów do wykorzystania, a potem cywilizacja się kończy. O tym, ile ich ma i jak nimi dysponuje, decyduje on sam, a nie obiektywne czynniki. Gdy zasoby stają się zbyt kosztowne w pozyskaniu, znajdujemy inne. Kiedyś obawiano się np., że zabraknie drewna do produkcji statków. Koszt pozyskania wzrósł, ale pojawiały się nowe technologie i zaczęto robić je ze stali. Problem zniknął. Co to oznacza w kontekście zmian klimatu? Zacznijmy od tego, że kosztem pozyskania paliw kopalnych jest nie tylko cena ich wydobycia, lecz także negatywne efekty, które potem generują. Można się racjonalnie spodziewać, że świadoma tego ludzkość wymyśli coś, co albo te koszty zredukuje, albo te paliwa zastąpi. Wymyśli raczej prędzej niż później, sama z siebie, chcąc mieć dostęp do tanich rzeczy – a nie pod politycznym przewodnictwem i przymusem.

Przez ostatnie 200 lat ludzkość radziła sobie z rozwojem i pokonywała problemy – nawet te, które sama stworzyła – bez globalnie pomyślanych strategii politycznych i skoordynowanych działań. Jeśli zaś takie się pojawiały, to miały raczej charakter destrukcyjny. Były to bowiem najczęściej strategie wojenne. Skąd więc bierze się pesymizm antywzrostowców w spojrzeniu na spontaniczne kształtowanie się rozwoju społeczno-gospodarczego?

Ciężar pesymizmu

Ludzka skłonność do spodziewania się najgorszego nie jest niczym zagadkowym. Pesymizm to dziecko strachu, jego źródła tłumaczą nauki ewolucyjne. „Zanim ludzie zeszli z drzew, byli ofiarami drapieżników. Pierwszymi wyrażeniami wypowiadanymi przez ssaki naczelne były z niemal całkowitą pewnością: «O, cholera, duży kot!», «O, cholera, jaki gigantyczny orzeł!», «Na miłość boską, czy widzieliście tego ogromnego węża?»" – pisze Rob Dunn, biolog ewolucyjny z North Carolina University. Takie trwożliwe nastawienie wobec tego co nowe i nieznane, które można nazwać pesymizmem, w czasach pierwotnych sprawdzało się jako strategia przetrwania. Ci zbyt pewni siebie często nie wracali z wypraw w głąb puszczy. „Mówiłem mu, żeby na nie uważał!" – wspominali ludzie prehistoryczni sąsiada znalezionego w przewodzie pokarmowym węża. Nasze mózgi są do dzisiaj obciążone faktem, że przez większą część historii ludzkości głównym jej zadaniem było uciekanie przed niebezpieczeństwem i chociaż naszemu życiu dzikie zwierzęta już nie zagrażają, to pesymizm jako przyzwyczajenie wciąż w nas tkwi.

Przejawia się to choćby w tym, że – jak pokazał behawiorysta Daniel Kahneman – strata boli nas bardziej, niż cieszy zysk. Oczywiście dużo zależy od jednostkowych uwarunkowań. Nie każdy ma takie same pokłady pesymizmu i nie każdy w tym samym stopniu mu się poddaje. Czy więc antywzrostowcy to po prostu ci, którzy radzą sobie z pesymizmem gorzej niż inni?

Bardzo możliwe. Ale przecież i optymizm to zaburzenie poznawcze. Skoro katastrofiści to pesymiści wyolbrzymiający problemy, może więc ich przeciwnicy to niepoprawni optymiści, problemów niedostrzegający wcale? Ta teza się nie broni. Próżno szukać ślepców wśród tych, co katastrofizmowi na gruncie nauki i faktów się sprzeciwiają. Ani Steven Pinker, ani Matt Ridley, ani Johan Norberg, ani Bjørn Lomborg czy Daron Acemoglu albo Hans Rosling, by wymienić tych najważniejszych, nie twierdzą, że ocieplanie się klimatu to zjawisko wyłącznie naturalne, z którym działalność człowieka nie ma nic wspólnego. Nijak nie da się ich zapisać do obozu klimatycznych negacjonistów (mnie także). Nie odrzucają też ustaleń naukowców, co do skali zagrożeń związanych z eksploatacją paliw kopalnych i emisją CO_2 (i ja także).

Przekonują jednak, że odrzucenie wzrostu gospodarczego będzie miało skutki przeciwne do zamierzonych, a do tego skaże tych, co jeszcze z biedy nie wyszli, na wieczną w niej wegetację. Antywzrostowe idee miałyby tragiczne rezultaty, nawet gdyby zaaplikowano je wyłącznie w krajach bogatej Północy, dając np. biednej Afryce czy Azji taryfę ulgową. Gospodarka tak nie działa. Spadłby wówczas popyt Zachodu na towary z tych kontynentów, wpędzając je w recesję i zwiększając ubóstwo. „Klimatyczni aktywiści mają rację, gdy nawołują do bardziej efektywnej produkcji i konsumpcji energii, jednak w świecie, w którym wciąż więcej niż miliard ludzi żyje w ekstremalnym ubóstwie (...) realistyczna obietnica wspólnego wzrostu będzie bardziej przekonująca niż zatrzymanie postępu gospodarczego" – pisze Daron Acemoglu, profesor MIT, dla Project Syndicate. „Jest coś głęboko niepokojącego w akademikach próbujących przekonać ludzi, by porzucili dobra, które przynosi wzrost gospodarczy. Świat potrzebuje więcej wzrostu, a mniej hipokryzji" – podsumowuje z kolei duński ekonomista środowiska Bjørn Lomborg w tekście „No-growth przepisem na niedolę".

On i wielu innych uznanych badaczy przekonuje, że drogą do ocalenia ludzkości przed katastrofą klimatyczną jest robienie wszystkiego, by zanieczyszczanie było drogie (trzeba np. lepiej chronić własność prywatną), a czysta energia była tania (należy np. zmniejszyć ciężar regulacyjny eksperymentów). Narzędziem do osiągnięcia tego celu jest rynek, a nie jego brak. I – wbrew antywzrostowym mrzonkom – jest to jedyne przetestowane, skuteczne i wiarygodne narzędzie, jakim ludzkość dysponuje. ©℗